



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60,
kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycja główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Swiat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1
sgr. 20.

OD REDAKCYI.

Redakcyja „Bluszcza” chcąc dać matkom naszym dzieło o wychowaniu, oparte na zasadach gruntownych i traktujące przedmiot ten wszechstronnie, ogłasza

WZNOWIONY KONKURS NA OPRACOWANIE DZIEŁA

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

Wychowanie macierzyńskie ogarnia tak syna jak córkę, a w całokształcie swoim trwa od pierwszych niemal chwil życia, do dojrzałości umysłowej wychowywanej istoty. Jak matka dopełnić ma najlepiej tego zadania? oto zagadnienie, które rozwiązać powinien pisać, wskazując matce zasadnicze środki działania:

- 1) Jak matka ma postępować z dzieckiem od pierwszych chwil dzieciństwa, aby otrzymać wpływ stanowiący wychowanie?
- 2) Jaki w wychowaniu macierzyńskim powinien być stosunek działań matki na syna, a jaki na córkę?
- 3) Formalne działanie wychowania macierzyńskiego i nauka. Jakie względnie do umysłowego kształcenia dziecka są obowiązki matki? Jej stosunek do nauczycieli i szkoły.
- 4) Co należy rozumieć przez wykształcalność człowieka? Ile godzi się uwzględniać naturalny kierunek zdolności i siły wrodzonego usposobienia. Wykształcenie humanitarne i zawodowe.
- 5) Jak wychowanie macierzyńskie działać powinno na wyrobienie się charakteru dziecka? O szczepieniu poglądów i przekonań.
- 6) Dziecko chowa się dla przyszłości; jak zatem iść w wychowaniu za prądem idei nowych i jak je stosować w wychowaniu? Co należy rozumieć przez postęp?
- 7) O dojrzałości myśli wychowawczej: o jedności i spokoju działań edukacyjnych.
- 8) Jak wpływy wychowawcze powinny przeciwwazyć złe wpływy zewnętrzne, tak zwanego świata i nieprzyjanych okoliczności życia, wśród których znaleźć się może dziecko młodsze i dziecko starsze?
- 9) Jak powinien się urobić stosunek moralny dziecka do rodziny i tradycyj rodzinnych?

10) Jakiem powinno być stanowisko matki, gdy córka z ukończeniem nauki obowiązkowej, a syn z ukończeniem szkół średnich, staną wobec matki, jako młódz dojrzałości już bliska, a przecież jeszcze niedojrzała?

11) Jak ofiara przywiązania rodzicielskiego powinna posunąć się daleko, gdy dziecko zupełnie już dorosłe ma wstąpić w życie, jako jednostka niezależna? Jakie być powinno pojęcie matki codo obowiązku zapewnienia szczęścia dziecku, i jak daleko w tym kierunku wolno jej oddziaływać na przyszłość dziecka.

12) Czego z chwilą niezawisłości zupełnej rodzice i dzieci mogą wzajemnie żądać już tylko od siebie, a co pozostaje między nimi na zawsze, jako obowiązek nienaruszony przez czas i okoliczności życia?

Wszystko to są kwestye, które w rozumnie prowadzonym wychowaniu muszą wystąpić przed umysł matki; pisać, powinien też zbadać je wszystkie i w dziele swem rozwiązać. W planie książki, w stosunku do siebie zagadnień postawionych, w poglądach na nie, pozostawia mu się swobodę najzupełniejszą, tylko jasność obrobienia i duch etyczny, przenikający książkę: oto warunki położone na szali konkursowej. Potrzeba matkom naszym pomocy, działającej zarówno na umysł, jak i na serce, stawiającej im przed oczy w dziele wychowania wysoki ideał społecznych obowiązków i duchowych przeznaczeń człowieka, który nie samym chlebem tylko żyje. Wierzyć mocno, kochać gorąco, miłość swą oprzeć na podniosłym pierwowzorze dobra i piękna, nadzieję złączyć religijnie z wiarą w to dobro i piękno: oto czem książka konkursowa ma w pracy wychowania macierzyńskiego podopieczną kobietę.

Warunki konkursu:

- 1) Rękopisma winny być nadesłane najpóźniej do d. 1 Kwietnia 1879 r.
- 2) Rękopisma nadesłane Redakcyi, oddane zostaną do ocenienia Komitetowi oddzielnemu, złożonemu z osób, których nazwiska w dniu zamknięcia konkursu ogłoszone zostaną przez pisma publiczne.
- 3) Autor dzieła uznanego przez Komitet za odpowiednie, otrzyma od Wydawcy „Bluszcza” sumę Rs. 200. Własność rękopismu zostaje przy autorze; Wydawca „Bluszcza” zostawia sobie tylko prawo pierwszeństwa do nabycia rzeczzonego rękopismu.
- 4) Paczki zawierające rękopisma, winny być opatrzone osobnym znakiem; w oddzielnej zaś kopercie zapieczętowanej, z napisem: „Na konkurs dzieła: O wychowaniu macierzyńskim” mieścić się winna kartka, obejmująca nazwisko autora, oraz znak ten sam, co na paczce, zawierającej rękopism.

Adres: Do Księgarni M. Glücksberga w Warszawie, Nowy-Swiat Nr 55

W DROGĘ DO EGIPTU.

—Wstań—mężu Boży—szeptał Anioł we śnie,
Dzieciatko z matką weź, i wyjdź ztąd wczesnie,
Gdyż w Betleemie Herod się zawzięty
Nad niewinnemi pastwi niemowlęty,
Jako rzeczone:—„głos był słyszany w Ramie
Boleści pełen, Rachel ręce łamie,
Swych wnuków drobnych słysząc płacz dziecięcy,
Niepocieszona! iż ich nie masz więcej.”

Zaczem, nie bawiąc, Józef, on kmić Boży,
W komorę wszedłszy, skrzynie swe otworzy;
I z chust węzełek wiąże drżącą ręką—
A tu już z nieba świta brzask w okienko—
A ten ciesielskie jeszcze swe narzędzie
Na plecy bierze—z czegoż—bo on będzie
Żywił Panienkę i Dzieciatko Boże?
Juści-że z pracy.—Coraz jaśniej zorze
Niebo rumieni. Józef ze stajenki
Osiółka wiedzie—zwierz spokojniuteńki
I niezbyt rosły, jednak on uniesie
Matkę z Dzieciatkiem.

Niby szmer po lesie,

Wiesć biegnie—wszystkich zdjęła żalność szczera:
—Pan się maleńki od nas precz wybiera—
Cóż komu wadzi ta Dziecina eicha?
Lecz—ha—coż robić—skoro Herod czyha!—

Przyszła gromada z wieśniaczemi dary—
Lecz młodzi nie śmiał. Więc z nich jeden, stary,
Jabłka, orzechy, miód i sér z pastuszej
Torby dobywa—a ci, z serca z duszy
Proszą, by przyjąć, i zegnają czule.
A tuż za nimi i Wschodowe króle...
Jeden w zawoju, ogorzały zbytnie,
Z onej Arabii, gdzie kadzidło kwitnie.
A drugi, mędrzec w mitrze, z tej krainy
Przedziwnie żyznej, w której Eufrat siny,
(Gdzie niegdyś Rajske było międzyrzecze)
W zatokę Perską z żółtym Tygrem ciecze.
A trzeci, czarnej twarzy, aż od owej
Ofiry, z której, brnąc przez piasek płowy,
Salomonowe wielbłądy znośliły:
Piór strusich pęki, sandał, złote pyły,
Jaspis, opale, perły i beryle,
I kość słoniową,—i tych rzeczy tyle,
Bywało, w dworcu pańskim się pomiata,
Aż dziwno było Sabie z końca świata...
Więc i z tych każdy dary swe otworzy
Z królewskim zbytkiem—a Dziecinie Bożej
Żal jest odmówić, aby zasmuceni
Precz nie odeszli—bo się tutaj ceni
Chęć serca szczera—a znów, swoją drogą,
Królowi niebios coż dać skarby mogą?

A ono tłum się zbiera nie na żarty...
Tam znów—kto taki? To na kiju wsparty
Symeon drżący i Fanuelowa
Anna. Ci znowu błogosławieństw słowa
Próroczkę niosą—a Dziecina słucha
I w serce bierze—boć to chleb jest Ducha....

A tu, tymczasem, z różnych miejsc, gromada
Chłopi, dziewczęta, do stóp Mu przypada,
I nuż całować. Mała Magdalenka,
Rąbek sukienki jego garnąc, klęka—
Na wiatr jej złote włoski się rozwiały—
A ona płacze. A tuż Łazarz mały,

Z siostrzyczki swemi: z Maryą i z uprzejmą
Gospożą Martą, nim precz im odejmą
Miłego Pana, do paciorka dłonie
Złożywszy, patrzą w światłość, która płonie
Z twarzyczki Bożej.

Wkoło Pana rośnie

Tłum coraz większy. Skarżą się żalność,
Ale w milczeniu—bowiem w tej czeladzi
Bożej, przed wrogiem Pana nikt nie zdradzi.
Ni się Go także zaprze serce czyje,
Aż więc godzina Jego nie wybije...
Ztąd tylko zewsząd słysząc dobre słowo:
—Niech Pan Bóg wiedzie!—No, ostajcie zdrowo!—

I wziął w dłoń Józef lilie w pełnym kwiecie,
I na osiółka wsadził z Matką dziecię,
I za uzdeczkę uchwyciłszy kroczy,
—Kto się w Opiekę—nucąc. Wtem z uboczy
Chłopi, nagie zerwie się zpod ściany,
I nuż biedz przodem. W pasie przepasany
Wielbłądź sierścią, a twarzyczka blada—
Bo on szarańczę tylko i miód jada—
Jagniątko przy nim, a on z owym w dłoni
Krzyżykiem swoim, ledwie sam się broni
Od złego wilka. Toż Zacharyaszowe
Pachole z Puszczy!... Cichą słysząc mowę:
—„Janku! ej! jakże? Czyż my tutaj sami
Tak zostaniemy? Toż choć ty bądź z nami.”—
A on im na to:—„Puście! Czyż ja mogę?
A któż, jak nie ja, będzie Panu drogę
Gotował przed Nim? przecież powiedziano:
„Ścieżką On tylko pójdzie sprostowaną.”
—Ha! to idź z Bogiem, gdy już tak być musi.—
Jakoż i poszli....

Jeszcze Pan malusi

Czas jakiś rączką żegna i oczyma
Rąbki Najświętszej Panny wietrzyk wzdyma—
I widać jeszcze wpośród drzew sędziwą
Józefa głowę, w srebrnych pasm przedziwo
Poważnie zdobną—a nad główką Pana
W szafirach jasność dnieje jak świetlana
Równianka rajska, a u skroni Matki
I u Józefa, niby złote płatki,
Promienie wieją—i tak, wszyscy oni,
Zcicha, stopniowo, zwolna, w mglistej toni
Topnieją, jakby za przezroczą szatą
Tkana w srebrzyste rąbki z gwiazd—a za to
W szafirów głębi, niby senne dziwa,
Aniołów zastęp liczny polatywa,
Im wyżej w górze, tem się mocniej mieni
Ten rój niebieski,—aż tam gdzieś, w przestrzeni,
Twarzyczki jeszcze małe żywo biją
W skrzydełka jasne....

—Jezu i Maryo!

I ty Józefie Boży! coż się stało?
Toż odchodzicie od nas z Pańską Chwałą!
I w garstce tęsach ciche brzmi szeptanie:
—O! powróć! powróć do nas, Dobry Panie!
Toż słabi, grzeszni, i z Twych Łask wyrzuci
Cóż tu pocniemy?..!

Wróci On—powróci—

Bo się tu słowo Pisma przypomina:
„Toć-żem z Egiptu wezwał Mego Syna,
Z domu niewoli, z kąd, jak było dano,
Lud mój powiodłem w ziemię obiecaną.”

Felicjan.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Wzburzony jeszcze Hojski jeść nie chciał, napił się wódki, chlebem zakąsił i nie tknął nic więcej. Strukczaszanka zjadła trochę kaszki na mleku i chciała ją nakarmić chorego, ale ten się dopomniął mięsa i na łóżku je zjadł z apetytem.

Po wieczery zwykle Strukczaszy, chodząc po izbie jadalnej i bawialni, odmawiał pacierze. I tego dnia nie opuścił ich, lecz kończyły się one regularnie najpóźniej o jedenastej godzinie, poczem wołał chłopca, kazał sobie buty ściągać i szedł na spoczynek.

Tego dnia już blisko było dwunastej, a nieśpiąca panna Blandyna, która dla odmiany kompres nad drzemającym siostrzeńcem czuwała, słyszała jeszcze brata chodzącego ciągle po pokojach.

Deszcz i burza już były zupełnie ustały, na podwórzu zaczynało się wyjaśniać i czarne tylko, porwane obłoki za chmurą uciekały na lasy; Strukczaszy wyglądał oknami, wychodził na ganek, a spać się nie kładł.

Niecierpliwiło to siostrę, a choć wiedziała, że ze Strukczaszym, gdy co wziął do serca, niepodobna było wygrać sprawy, postanowiła choć spróbować namówienia go do spoczynku.

Wyszła więc.

—Ale co-bó pan brat drepcze, drepcze! Kiedy już po północy, też czas dawno spać.

—No, to asinidzka śpij! odparł stary — śpij! Czyż i nademną będziesz komenderować i przewodzić.

—Dajże mi pokój!—

Odwrocił się i na tem rozmowa i próba się skończyła.

Wistocie nie mógł położyć się pan Hojski dopóty, dopóki-by się z powrotem Morawca nie doczekał, bo na wychodnym mu szepnął, że o którejkolwiek porze powróci, żeby mu się natychmiast meldował.

Prawda, że od dworu w Sierhinie na łękę Osowiecką, był dobry kawał drogi, a i siana też, tam gdzie wozy, konie ani woły, dla grzęzawicy, nie mogły wleźć, samotuzkiem je ściągając, nie można było tak rychło zabrać.

Ze noce w Czerwcu krótkie, już dobrze dzień zaczynało i ptactwo się budziło, gdy nareszcie wśród ciszy wyteżone ucho Strukczaszy, pochwyciło tentent konia zbliżającego się ku dworowi.

Ani chybi—musiał to być Morawiec. Gospodarz wyszedł z pośpiechem na ganek. U bramy już stary ekonom z konia zsiadał, a w brzasku dnia spostrzegłszy biały kitel pański, zwawo ku niemu śpieszył. Sama ta rzeźwość ekonomy dobrym była znakiem.

Strukczaszy, mimo stojących od deszczu kałuży, zeszedł do połowy dziedzińca.

—A co? spytał.

—Wedle rozkazania! poczał, kłaniając się Morawiec, od którego mocno wódkę czuć było.

Pan Hojski przystąpił bliżej.

—Była straż?

—A jakże i trzech stało, z których dwu leży: dostali dobrą pamiątkę i w kij ich powiązać kazałem. Trzeci, bestya, uciekł, com się bał, żeby gromady nie naprowadził; ale jak się burza rozpostarła—strach jak szalafa; sądny dzień był na błocie; pioruny waliły tylko patrzeć kto żywi! Musiał gdzieś przyczepnąć. A my czasu nie marnowali, het siano zgarnęli i do wody, do prądu, w trzęsawicę.

—Już my z Osowca schodziliśmy, gdy gromada od Łopatycz poczęła biedz—a no, po harapie. Siana i żdźbła nie zostało,

— Ani im, ani nam! mruknął pan Hojski. A ludziom się dobrze dostało?
 Morawiec głową pokiwał.
 — Aby się wylizali—rzekł krótko.
 — Weź sobie asinudziej kasztanowatą—co zpod Sapięzanki—dodał pan Hojski.
 Morawiec się do nóg pokłonił.
 — O tem, co się z panem Erazmem stało, ani mruknął—rzekł Strukezaszyc. Będą gadać,—powiedzieć—jakożywo, pisarz był Hryniewicz. Co to dziś?

Morawiec, który, w lepszym będąc humorze, przysłowie „niby“ używał—dodał żwawo:

— Niby czwartek.

— Czwartek — powtórzył Strukezaszyc. Już bądźco bądź, ja w tem, że pan Erazm w niedzielę się pokaże w kościele, zdrów i rumiany. Tem im gęby zamaluje. Choćby trochę i pokawęczał, co robić. Zresztą zechcą pisać, niech plotą.

Dzień się już robił na dobre, Morawiec miał prawo do spoczynku, który się też i staremu panu należał, rozeszli się więc po cichu, właśnie gdy na folwarku dziewczęta do roboty już budzono.

Panna Blandyna, nie rozbiegając się, z różańcem w ręku, spała w krześle, na najmniejszy szelest się zrywając i przysłuchując czy Erazm zasypia.

Ranny spał młodym snem, lecz niespokojnym, rzucając się, mówiąc przez sen, pokrzykując i wciąż na rękę chorą niemając względu.

Po kilkakroć usiłowała dla kompres i przewiązania rany dobrać się go ciotka, ale napróżno. Zaledwie na pół otworzywszy oczy, pan Erazm natychmiast je zamykał znowu i głośne chrapanie dowodziło, iż snu nadewszystko potrzebował.

W pomroce wieków zaginęła pamięć o tym kto dwór w Łopatyczach fundował; ale że to był niegłupi człowiek, na to się zgadzali wszyscy. Na kilkadziesiąt mil w koło nie nigdzie podobnego nie było. Wśród tych równin i moczarów, kto sobie dawniej wyższy nieco i suchszy hrud upatrzył, a przyparł się do laski, już się mógł bardzo szczerliwym nazwać. Przejorniejszy nierównie fundator anonimusz Łopatycz, wynalazł sobie wodociąg, zwaną Prudnikiem, a kędyś z głębi starej Puszczy Kobryńskiej płynącą.

Czy natura w tem miejscu sama tak rzeczulką zakreśliła, czy jej rydel i łopata dopomogły, dosyć że Prudnik dzielił się tu na dwa koryta, obejmował nimi rodzaj wysepki, i nieco opodal, znowu się łącząc w jedno, biegł gdzieś dalej ku Muchawcowi, zwanemu w dawnych czasach Muchą.

Wyspa, dosyć spora, a co lepiej, wyniesiona tak, że jej na wiosnę wody wezbrane nie zalewały, chyba gdzieś trochę, zasadzona była przed laty olchami, wierzbami, sosnami i świerkami, tak, że wyglądała gdyby koszyk zielony. Olchy szczególnie, co to lubią żyć na moczarach i nad wodą, tak tu bujały, że miło na nie patrzeć było, a świerki też zdawały się z niemi iść na wypródkę, choć i starym wierzbom nieobeinanym nie zarzucić nie było można. Pięły się do góry, jakby do tego miały prawo.

Jedna część wyspy, niby las gęsty, bardzo pięknie zarastała, a i nareszcie jej porozrzucane stare drzewa pozostawiano między budowlami, i po brzegach jakby obszyte z olch zostało dokołuteńka.

Z pośrodku tej gęstwiny i zieleni wyglądał dwór stary, co się zowie okazały, choć w znaczniejszej części drewniany; dalej, to tu to owdzie, stały lamusy, serniki, kaplica, skarbiec—wszystko porządne, na podmurowaniach kamiennych, a że się tam ludzie kochali w tem, żeby to pięknie wyglądało, wyspa niemal cała była poobwodzona płotami z polnych kamieni, o które nietrudno w okolicy. Te szare głązy, przybłądy z zamorza, gdy się do nich poczepiają rozechodniki, chmiel, perestupy, białe polne wojowe, co migdałami pachną—rozkosz patrzeć, jak to śliczne.

Od gościńca kobryńskiego do dworu, przez Prudnik prowadził most fundamentalny, bo i szeroki tak, aby pańska kolasa wygodnie po nim przejść mogła, i na palach dębowych, gęsto pobitych oparty, że się nie ugiął pod największym ciężarem.

Mówiono o Łopatyczach, że tam jak u Pana Boga za piecem się siedziało, a uchowaj Panie, zawieruchy jakiej, można się było nawet jakiś czas i bronić.

Rzeczka, choć niepokazna, głęboka była i grzeczka. Ludzie w niej łapali piskorze, raki, a kaczki i gęsi miały prawdziwą rozkosz, bo mogły odbywać podróże daleko poza dwór, najczęściej też dopiero na noc wracały. Była i sadzawka, w której trzymano i karmiono ryby na stół pański, choć się ludzie skarżyli, że mułem je czuć było.

Do Łopatycz, jak—eśmy mówili, wsi i przysiółków należało jeszcze dosyć, i dobra były znaczne. Niedługo one do książęcego zamku w Kobryniu należały i służby odprawiały; potem, jak wiele innych dóbr podobnych, oderwało je jakieś książętko, i w dziedziczne obróciło. Czemerzyński już od kilku pokoleń Łopatycze trzymali—od kilku też pokoleń, Łopatycy dziedzice o sporą sianożęć, zwaną Osowcem, spierali się z właścicielami sąsiedniego Sierhina. Łopatycze oprócz tego, miały pretensję bodaj, że na ich gruntach nawet dwór stał Sierhiński, a w Sierhinie było podanie i tradycja, że ogromny szmat lasu przytykający do Osowca, trzymany już zdawna przez Łopatycyckich dziedziców, należał niegdyś do Sierhina.

Toczyły się o to procesy, ciągnęły się, wlokły i końca im nie było, a tymczasem coroku powtarzały się krwawe boje na Osowieckiej sianożęci. Odgrązał się p. sędzia Czemerzyński; milcząc swoje robił, niedając się w kaszy zjeść, uparty Strukezaszyc Hojski; a dwie rodziny od wielu już pokoleń nienawidząc się, omijały się wzajemnie. Przy nienawiści, jaka je dzieliła i zacięciach nieustannych, które ją rozżarzały, to omijanie się z niechęcią było połączone trudnościami. Obie wioski *in primis* do jednej należały parafii, a choć p. sędzia Czemerzyński kaplicę własną miał u siebie, nie mógł się wyrzec zupełnie parafialnego kościoła, do którego kilka razy w rok na wielkie uroczystości stawiał się musiał. Spotykano się więc w kościele, a bywało, że się trafiło zjechać i u sąsiada. Najczęściej wówczas jeden się wynosił jak mógł najrychlej, niekiedy jednak nie wypadało uciekać. Bokiem więc chodzili, niechęć się znać, Czemerzyński i Hojski.

Pierwszy z nich na pana chorował, a tamtego na jednej, choć dużej, wsi, miał za hetkę pętelkę. Hojski znowu na Czemerzyńskich wydziwiał, dowodząc, że choć od kilku pokoleń szlachę udawali, jakożywo nią nie byli. Żartował sobie z nich, zowiąc ich mieszczanami Czarnawczykami.

Tymczasem Czemerzyński już i książęce i senatorskie mieli kolligacje i pielił się tak, że na Hojskich patrzeć nie chciał, nazywając ich hołotą.

Że pomiędzy często okrutnie rozwieścienymi na siebie rodzinami, do starcia, napadu i krwi rozlewu nie przyszło, przynać to było potrzeba wyraźnej łasce Bożej. Strukezaszyc też Hojski, żelazny człek, był milezący i nieporywczy, a Czemerzyńskiego rodzina i bliźcy chronili i zabiegali, aby burdy nie poczynął. Ciągnęło się to tak już od niepamiętnych czasów, ale ludzie ciągle prorokowali, że kiedyś jednak będzie nieszczęście z tego. Tymczasem, prawie równolatki, Czemerzyński i Hojski postarzel, zdala na się patrzali i fukając.

Tego dnia gdy do Sierhina rannego p. Erazma przywieziono, w Łopatyczach byli goście, a że sędzia Czemerzyński lubił przyjmować i zabawiać się, występować po pańsku, i pana grać rolę, nikt ani pomyślał o tem, że na Osowieckiej dyferencji tragedya się odegrywała. Skład dworu w Łopatyczach całe nie był podobnym do szlacheckiego, skromnego, acz zamożnego, domu p. Strukezaszycy.

Pan Bonifacy Czemerzyński, częstogosto w stolicy bawił, w polityczne i sejmikowe sprawy rad się mieszał, stosunkami wysokimi się chlubił, odpowiadał z królewską kancelaryą, z dygnitarzami, miewał sobie powierzane funkcje różne publiczne i sekretne: wysoko też głowę nosił.

Ludzie utrzymywali, że niepospolite miał zdolności, zwano go statystą i on sam sądził się pewno zdolnym do najwyższych funkcji. Dotąd jednak, choć się nim z Warszawy chętnie posługiwano, do wyższych godności, mimo zabiegów, nie dopuścili go ci, co lepiej nad niego starać się o nie umieli.

Czemerzyński był niegdyś bardzo pięknym mężczyzną, co na nim dziś jeszcze widzieć było, stroił się zawsze bardzo starannie, i w domu, choć gości nie miał, nigdy się nie zaniedbywał. Lubił mówić i wyrażał się z pewnym dobozem wyrazów nieco wyszukanych, trochę rozwlekłe, głos podnosząc i

zniżając, jakgdyby przed kratkami stał. Z domowymi nawet i w prywatnym życiu nie schodził z tego stanowiska oratorskiego: słynał też z wymowy i nikt mu jej nie zaprzeczał. Może dlatego lubił się otaczać słuchaczami, gości witał chętnie, a gdy nieznajomego schwytał, który go nigdy jeszcze nie słyszał, występował natehniiony przed nim, wyszukując przedmiotu do opowiadania, któryby z całą elokwencyą dozwolił się popisać.

Domowi uważali, że się często powtarzał w swych oratorskich wystąpieniach, lecz za każdym razem podziwiano piękny talent jego.

Z powierzchności Czemerzyński nikomu z magnatów nie ustąpił: wzrost miał piękny, postawę kształtną, rysy twarzy szlachetne, choć wyrazu pozbawione, uśmiech przyjemny, układ całe dworski. Niebieskie oczy mocno wypukłe, wdzięczne choć nieco wystające wargi, czoło wspaniałe, fizjognomii jego nadawały rodzaj majestatyczności imponującej.

Sama pani sędzina Kassylda z Horbowskiich Czemerzyńska, z którą się jegomość ożenił z przywiązania, choć była ubogą panią, kobiecina prostoduszna, dobra, męża uwielbiająca, posłuszna mu, uśmiechnięta zawsze, wykształceniem nie równała się z mężem, sercem go przewyższała. Widać na niej było, mimo wieku, ślady owej miniaturowej piękności, którą sobie serce małżonka pozyskała. Była blondynką, małego wzrostu, ale ślicznych rysów twarzy, drobnych; a rączki pulchne, lilipucie małości, starannie pielęgnowane i nóżki zawsze w maluskie trzewiczki na korkach obute, wielbili wszyscy przyjaciele domu prozą i rymami.

Najlepsza w świecie istota, kochała męża, przepadała za córką jedyną, rada była sobie zjeść serca wszystkich i prawie gniewać się nie umiała. Gdy ją co bardzo oburzyło, popłakiwała w kątku. Było to pięćdziesięcioletnie dziecko, a nawet ruchy, uśmiechy, mowę, mimo wieku, miała jakąś dziecięcą. Sama jedna w domu, gdyby nie jegomość, nigdy-by w świecie sobie rady nie dała. W najmniejszej też rzeczy po radę musiała iść do jegomości i po rozkazy, za nie niechęć na siebie brać odpowiedzialności.

Wychowania najdroższej obu państwu, jedynej córeczki, teraz już lat dwudziestu dochodzącej, sędzianki Leonilli, matka także na siebie wzięć ani mogła ani chciała. Czemerzyński, który ją jedną miał a wysoko nader patrzył, umyślił jej dać wychowanie jaknajświetniejsze, marząc o tem, że conajmniej mitrą książęcą piękną jej główkę uwieńczy.

Pieszczony, chuchany, pierwsze w domu dziecie jedyne, sędzianka Leonilla była tak śliczną jak oboje rodzice. Wyrosła tylko, znacznie wzrostem przechodząc matkę, a rysami twarzy i ją i pana sędziego przypominała. Miała jego piękne, lazurowe oczy wypukłe; matusi—nosek marmurowy, usta cudnego kroju, rączki i nóżki małe i arystokratyczne. Tej piękności dodawały uroku włosy, jakich, zdaniem matki i bony Francuzki, drugich podobnych nie było na świecie. Koloru blond popielatego, jak jedwab' delikatne, rozpuszczone, okrywały ją płaszczem po kolana. Ciężko jej było nosić bujne warkocze; ale któżby śmiał dotknąć ich świętokradzkimi nożycami?

Leonilka, której zawczasu dano bonę Francuzkę, panią St. Aubin, osobę niegdyś do dobrych towarzystw nawykłą i talentów pełną, rozmarzoną i exaltowaną, wiele od niej skorzystała, lecz skutkiem połączonych pieszczot matusi, ojca, bony i wszystkich domowników, wyrosła na śmiałą i samowolną istotę.

Onego czasu jeszcze o emancypacji kobiet, według naszych pojęć dzisiejszych, mowy nie było; miasto spierać się o nią w teorii kobiety większego świata za Augusta II-go i jego następcy,—w praktyce do wyzwolenia się zupełnego dążyły. Uznaniem zostało powszechnie, bez wchodzenia w rozumowanie nad tym przedmiotem, że piękne panie miały prawo czynić co im się podobało, zwłaszcza gdy sentymenty i serdeczne porywy za wymówkę służyły. Rozwódzono się też i pobierano, nadużywając praw owego sentymentu i afektów, które im gwałtowniej wybuchały, tem krócej trwały.

Pani St. Aubin hołdowała tej teorii postępowej,

że serce wyższe miało prawa nad te, które pospolitemu życiu służyły i pospolitymi rządziły ludźmi. Naturalnie, prawa te wyjątkowo tylko klasom wykształconym społeczeństwa przysługiwały i monopol szczęśliwości dla nich był przeznaczony.

Sama sędzina, o której uszy obijały się niekiedy teorie pani St. Aubin, nigdy w życiu nie ośmieliłaby się była zaprzeczać im, lecz słuchając ich przybierała minę zafasowaną, skłopotaną, milczała i — widać było po niej, iż nie rozumiała całkowicie tej nowej filozofii życia.

Zaprawdę, trudno określić jaką była panna sędzianka, kończąc wychowanie, z jednej strony religijne i staroświeckimi maxymami przejęte, z drugiej sentymentalnością i światowymi wpływami Francuzki trochę pobalamuczone. Natura, dając jej umysł nadzwyczaj pojętny, rozum przenikliwy, uczucie zarazem gorące i ku szlachetnym podlatujące ideałom, obdarzyła ją przecuciem i instynktem cudownym, który, od przesady w obu kierunkach wstrzymywał, sprzeczność ich wskazywał, a z sądem o życiu i świecie kazał czekać doświadczenia.

Leonilka milczała, słuchała, nie umiała dobrze pogodzić tego, co mówiła matka, z tem, co wychwalała pani bona; nie przechylała się na żadną stronę: ale z wielkiem pragnieniem życia i doświadczenia patrzyła na świat i czekała na to, by się przed nią wrota jego otwarły.

To, co miała przed sobą na wsi, było dla niej chyba tylko wstępem do życia, obiecywała sobie więcej, szerzej, świetniej.

Tymczasem, mniemając zapewne, iż książki malowały społeczeństwo, czytała wiele i bez wyboru, a opowiadania pani St. Aubin służyły za komentarze i criteria.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

Pół wieku upływa od chwili, kiedy pisarz najpopularniejszy z pomiędzy tych niewielu współczesnych, których nazwiska historia literatury naszej zaciągnie do akt nieśmiertelności ziemskiej, J. I. Kraszewski, wziął pióro do ręki. Przed blisko pół rokiem zjawilo się w prasie warszawskiej pierwsze przypomnienie tej półwiekowej rocznicy. Od tego czasu posypały się ze wszech stron przeróżne projekta, a główne ogniska życia intelektualnego ogarnęła myśl odpowiedniego uczczenia Jubilatą, będącego nie tylko pisarzem znakomitym i obywatelem pierwszorzędym, ale zarazem i człowiekiem w podeszłym już wieku, który za swe zasługi powinien otrzymać od narodu zaszczyt *pauis bene merentium*, aby starość upłynęła mu bez trudu i troski.

Ta skrzętność, z jaką wzięto się do obchodu pamiątki, to skwapliwe obmyślanie i przygotowywanie upominków dla czcigodnego Jubilata — jakie z doniesień pism codziennych wywnioskować potrzeba, — stanowią objaw bardzo pocieszający. Sam obchód ma być tylko szlachetną przyjemnością, ale zajęcie się nim jest uczciwością publicznej objawem. Niepotrzebnie przytoczono w pewnej odezwie wielkie słowo jednego z autorów zagranicznych, o obowiązku, jaki mają powszechności narodowe względem wybranych synów swoich: wykształcona warstwa narodu nie potrzebowała takiego bodźca; dość jej było powiedzieć: „Kraszewski obchodzi 50-letni jubileusz swego zawodu literackiego“.

Słowa te posyłamy dziś od siebie czytelnikom naszym. Kraszewski tyle im chwil szlachetnej, pożytecznej, obywatelskiej i człowieczeństwa kształcącej rozrywki w powieściach swoich, drukowanych w „Bluszczu“, zapewnił, że proste odwdziwienie się mu, udziałem jaknajszerszym i najodpowiedniejszym w przygotowywanym obchodzie, jest dla nas przedmiotem więcej niż oczekiwania: jest przedmiotem niezachwianej nadziei.

Trudno już nawet pamięcią pochwycić wszystkie te zamysły, jakie od pierwszej chwili przypomnie-

nia ogółowi o zbliżającej się rocznicy wystąpiły i za pośrednictwem prasy do wiadomości ogółu przeszły.

Zaiste, niepotrzeba już myśli nowych, potrzeba tylko te, które są, urzeczywistnić, a obchód będzie prawdziwie wspaniałym, godnym takiego talentu i takiej prawości, jakich Kraszewski przez życie całe swoje wymowne dowody składał. Porównanie pomiędzy sobą wszystkich ogłoszonych projektów przekonywa odrazu, że w znacznej większości dadzą się one urzeczywistnić, nie walcząc ze sobą bynajmniej, nie szkodząc sobie wzajemnie; przeciwnie, jeden obok drugiego doskonale się w rzeczywistości pomieści. Są wszakże pomiędzy przytoczonymi projektami takie, które się urzeczywistnić nie dadzą, mianowicie, projekt wydania polyglotycznego *Starej Baśni* i projekt wzniesienia pomnika — pierwszy dlatego, że wykonanie jego porządne zajęłoby wiele lat czasu i byłoby bardzo kosztowne; drugi dlatego, że Kraszewski woli umrzeć bez pomnika za życia, aby mieć trwalszy pomnik po śmierci. Wzniesienie pomnika musi być zawsze czynem spełnionym i ratyfikowanym przez potomność.

Zastanówmy się wkrótce nad dwoma projektami warszawskimi, najważniejszymi ze wszystkich: książki zbiorowej i wydawnictwa wyboru pism Kraszewskiego. Oba one są sobie w pewnej mierze pokrewne, oba mają nietylko złożyć dowód pamięci o znakomitym pisarzu, ale zarazem i *fundusz starości* na sędziwe lata życia mu zapewnić.

Projekt książki zbiorowej powstał jeszcze w końcu Lipca r. z.; pierwszy wystąpił z nim przyjaciel Kraszewskiego, Adam Pług (Pietkiewicz) w Nr 631 *Kłosów* z r. z. Pomiedzy postanowieniem a czynem tyle tu upłynęło czasu, że gdy później pan Unger ogłosił wydanie 15 tomów pism Kraszewskiego, publiczność, zapomniawszy już o projekcie Pługa, mniemała, że wydawnictwo piętnasto-tomowe jest pierwszym projektem tego rodzaju, mającym posłużyć za środek do zgromadzenia wiadomego funduszu, że więc wszelki projekt w tym samym rodzaju, później już podjęty, będzie albo zbędnym, albo nawet dla ostatecznego celu, wskutek współzawodnictwa, szkodliwym. Regestra życia są jak księgi hipoteczne: *prior tempore, potior iure*.

Projekt książki zbiorowej ze względu na cel materialny na jednej stoi z wydawnictwem 15-tomowym podstawie, ta jednak między obu projektami zachodzi różnica, że gdy wydawnictwo 15-tomowe ma dać jedynie przedruk utworów Kraszewskiego, Książka zbiorowa ma być wytworem zupełnie oryginalnym: złożą się na nią literaci, uczeni, artyści, wreszcie, codo strony materialnej drukarze i wydawcy; będzie ona zatem dla Kraszewskiego istotnym upominkiem od całej powszechności wytwarzającej książki i pisma peryodyczne.

Ci, co się złożą na Książkę zbiorową, złożą się najzupełniej *bezinteresownie*, jedni pracą, drudzy — potrzebnymi funduszami: dochód zatem ze sprzedaży osiągnięty będzie dochodem czystym; *brutto* i *netto* zejdzie się w jedno.

Nie mamy jednak bynajmniej zamiaru, podnosząc jeden projekt, poniżać drugi. Pragniemy tylko wykazać, że projekt książki jest uprawnionym, że nie czem nie współzawodniczy, że nieczego, co już podjęto, burzyć nie chce i że nawet, gdyby do materialnego celu, jaki przy nim założono, doprowadzić nie miał, jeszcze-by powinien być podjętym i urzeczywistnionym.

Jakto? Jednostki i korporacje krzątają się około jubileuszu, grona niewiast myślących przygotowują od siebie upominki wspaniałe; artyści zamierzają wydać album pamiątkowe, drukarze przedsięwzięli przedruki; ten i ów myśli i działa: a ludzie pracujący w piśmiennictwie nie mieliżby się zdobyć na jeden wspólny a trwalszy objaw pamięci, jakim tylko książka projektowana być może? Zaniechanie książki zbiorowej byłoby wręcz — nieprzyzwoistością.

Zresztą rozprawy nad tem: czy ma być książka zbiorowa? — byłyby już bez celu. Projekt wstąpił już w okres wykonania i potrzebaby wielkiej watości woli, wielkiej niezaradności umysłów, aby projektem tylko pozostał. Myśl jednego człowieka

stała się dzisiaj myślą ogółu ludzi piszących w Warszawie, którzy przez wybranie z grona swego komitetu do zredagowania książki przyjęli na siebie odpowiedzialność za urzeczywistnienie całego projektu. Dziś już tylko chodzi o urzeczywistnienie jaknajlepsze, o udział publiczności jaknajszerszy. Alboż-to posiadanie przedrukowanych na nowo powieści Kraszewskiego nie godzi się z posiadaniem książki zbiorowej i czy, przeciwnie, większość pamiętających o jubileuszu nie będzie chciała posiadać zarazem i wyboru pism Kraszewskiego w nowym przedruku i książki zbiorowej, — która da czytelnikom obraz życia i działalności znakomitego pisarza, a nadto pomieści prace zajmujące wyborowych dziś autorów, pod względem zaś wydawniczym przedstawi się okazale i będzie mogła być nabyta za cenę bajecznie prawie niską, jeśli, jak to jest zamierzonym, cena ta za książkę o 40 arkuszach druku, zawierającą najdoskonalszy staloryt i kilkanaście drzeworytów, nie przeniesie 2 rs.?

Z uwagami nad samą książką zbiorową, nad jej najodpowiedniejszym układem, wstrzymujemy się do czasu ogłoszenia formalnego, już ostatecznie opracowanego, projektu przez Komitet redakcyjny wybrany w dniu 2 stycznia r. b., do którego weszli: pp. Chmielowski, Kraszewski, Korotyński, Korzon, Lewestam, Oskierko, Pawiński, Pietkiewicz (Pług), Skimborowicz, Struve i Wójcicki.

Stanisław Krzemiński.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Cudzoziemka, — komedia w 5 aktach przez Al. Dumasa (syna) — przekład Wł. Bogusławskiego, — przedstawiona po raz pierwszy dnia 30 Grudnia 1877 r.

Sztuka pod powyższym tytułem, była zapowiedzianą u nas, a wreszcie powiedzmy otwarcie: reklamowaną mimowiednie czy umyślnie, przez kilka miesięcy naprzód, zanim nareszcie ujrzała światło kinkietów. Oczekiwania publiczności, podżegane wieściami o przepychu wystawy, o grze pierwszorzędnych artystów i t. p., doszły do paroxyzmu w dniu przedstawienia, w którym wielu bardzo odeszło bez biletów.

Czy oczekiwania były uzasadnione, czy obdarowano nas dziełem wyższem, pod względem ściśle dramatycznym lub literackim, lub choćby *tylko* scenicznym? Czy zasób estetyczny i etyczny — skoro przy Dumasowskich sztukach o tem niemówić nie można — zwiększył się choćby o jedno ziarenko?

Odpowiedź na to musi być szersza, autor bowiem przedewszystkiem pretensje ma do fizjologii stosowanej w dramatyce i do reformatorstwa społecznego, więc przez jakąś dziwną *associatio idearum*, lubi on w drugiej fazie swego życia, łączyć jedno z drugim, a raczej budować socjologiczne systemata na obserwacji niby fizjologicznej.

Zdaje się nam, że już tu nie potrzebujemy przypominać, iż mamy do czynienia z bardzo utalentowanym pisarzem, który wprawdzie, porzuciwszy świetne drogi obserwacji życiowej (w *Pół-swiatku* i innych) w ostatnich latach pragnie sam talentowi swemu, stawać w poprzek. Od owych sztuk jego pierwszego peryodu, gdzie i *Damę z kamelią* zaliczyć można, aż do *Nocy weselej*, *Zony Klauzjusza*, a szczególnie *Cudzoziemki*, różnica jest zbyt wielką, ażeby zamykała drogę przypuszczeniom uzasadnionym, co do fałszywego toru myślenia, w jaki pisarz ten popadł.

Chcieć dziwactwo jakieś uprawdopodobnić, rzadko uchodzi nawet w powieści, ale chcieć je przyswoić ogółowi z tą pretensją, jaką Dumas kładzie na czele wszystkich swych przedmów i rozpraw, to jest, iż jako rozumne, zdrowe i pełne utylitarnych następstw, należy ściśle do dziedziny teatru, zowie się albo olbrzymią zarozumiałością, albo zadrwieniem z prostego rozsądku wszystkich bez wyjątku. Mógł się jednak Dumas przekonać, że w Paryżu *Cudzoziemka* zginęła wobec poważnej krytyki, która między innymi w jednym z pism literackich, tak się wyraziła:

„Intryga w sztuce tej luźna i chwiejąca się na wszystkie strony, inwencja odpowiedniejsza dla melodramatu aniżeli dla komedii; dziwactwa, przesady, ekspozycja wlokąca się przez trzy akty, osobistości z których żadna nas nie interesuje ani nie poleca się naszemu społeczeństwu; monologi, dysertacje, niekończące się opowiadania, tyrady o trzystu wierszach, czyż potrzeba więcej, ażeby sztuka upadła? A jednak mimoto, przynęca ona gwałtem, bo kiedy nudy i znużenie opanowują widza, nagle fajerwerk jakiś budzi go na równe nogi. Po dysertacjach i tyradach, porywa niespodzianie jakaś scena silna, potężna, w której poznajemy umiejętność sceniczną autora....”

A dalej:

„.....Oddawna już, usiłuje Dumas w każdej ze sztuk swoich, dowieść jakiejś tezy, ale w żadnej niema tyle nauczania, co w *Cudzoziemce*. Fizyka, chemia, fizjologia, a nawet swojego wyrobu teologia, teoria łaski i interwencji boskiej w przeznaczeniu człowieka: wszystko się tam pomieściło w tej metafizyce mistyczno-zmysłowej.”

A teraz, ażeby czytelnik zgodzić się mógł i z naszym sądem, musimy go zapoznać ze samą sztuką.

Niejaki książę de Septmonts (główny przedstawiciel teorii autora w tej sztuce o tak zwanym: *wibryonie*), jest człkiem rzeczywiście szkodliwym dla społeczeństwa, bo jest graczem płacącym z cudzych pieniędzy, rozpustnikiem bez czci i wiary. Niemając już grosza, wyratował się ożenieniem z panną Katarzyną Mauriceau, córką kupca milionera, za pośrednictwem niejakej mistress Clarkson, od której książę pożyczył znaczną sumę pieniędzy, a która mu pomaga w nadziei odebrania jej sobie z posagu panny Mauriceau. Panna Mauriceau kochała, będąc jeszcze w domu, towarzysza lat dziecińczych, niejakego Gerarda, syna jej guwernantki. Został on inżynierem, ale, jak naówczas, miał tylko przyszłość przed sobą, czem się zaspokoić nie mógł wzbogacony dorobkiewicz, spekulujący wreszcie na zięciu, któryby był księciem lub conajmniej margrabią. Zatem córka została księżną, czyli żoną człowieka nie tylko niepoczuwającego się do wdzięczności, ale jeszcze niezachowującego względem niej, najprostszyc form dobrego wychowania.

Słusznie podejrzawać można, że panna Mauriceau niebardzo znowu opierała się temu, iżby zostać księżną, chociaż usiłuje to wytłómaczyć zręcznym i kwiecistym sofizmatem. Ale kiedy już raz została żoną, zapominając na śmierć o pewnych obowiązkach uczciwej kobiety, które bądźco bądź wytwarzać zwykło małżeństwo, uczuwa się nagle nieszczęśliwą i w tym momencie ocuca się jej miłość dla Gerarda, o którym bezustannie marzy, którego wprost od wszystkich się domaga. Niechaj Bóg broni polskiego autora od nadania głównej swej bohaterce, takiej rezolucyjności w zachęciach, jaką tu szczyści się księżna de Septmonts. Kiedy się jej oświadcza jakiś młodzian, ona mu wręcz mówi: ja nie pana kocham, lecz Gerarda. — Doktorowi Remonin, który jej pomógł przyjsć na świat, mówi to samo: kocham Gerarda, pomóż mi i sprowadź go tutaj. I wszyscy go sprowadzają: ogromnie uczony i od rana do nocy zajęty doktor, który mimo to ma masę czasu na sąznięte tyrady i na pomaganie w romansie swej pupille, — i ów młodzian, a później jej własny ojciec, mąż Cudzoziemki i stara margrabina, kuzynka jej męża, słowem, wszyscy.

Ten rys już sam świadczy cokolwiek o przewróconych pojęciach autora, skoro wszystkim, a nawet jedynej kuzynie księcia, owej margrabinie, każe on konspirować przeciw niemu, a później wszystkim się cieszyć, gdy go już pan Clarkson, mąż Cudzoziemki, zgładził z tego świata. Doktor Remonin bowiem, kiedy mu kommissarz policyi każe skonstatować akt zejścia, odpowiada: „Z przyjemnością” i tem kończy się sztuka. Wobec pojednawczego i uroczystego majestatu śmierci, to trochę za wiele! Może to być dowcipne, ultra-paryżkie i ultra-Dumasowskie, ale jest zarazem obrzydliwie-cyniczne!

Lecz wróćmy do wątku.

Zaledwo Gerard się zjawia, — ona rzuca się w jego ramiona wobec świadka, doktora Remonin, który z epikurejską pobłażliwością mówi żartobliwie: „Odejdę, mimo, że tak nalegasz na mnie, iżbym został”. Jednym tchem oświadcza mu, że do niego

należy, że ma on wszelkie nad nią prawa, że może ją zaprowadzić gdzie mu się podoba i zrobić z nią co zechce. Na szczęście, transcendentalny Gerard uspakaja ją mistyczną doktryną, która widocznie nie płynie z jego serca, ale z szufladki eklektycznej autora.

Książę, który ośmielił się wbrew woli żony wprowadzić mistress Clarkson, ową awanturnicę-cudzoziemkę, do swych salonów, i który ciągle uwielbia tę kobietę, najobojętniejszą dla niego jako i dla całego rodu męskiego, — uprzedzony przez tę właśnie panią, zakochaną ni ztąd, ni zowąd — a tym razem *nadzwyczajnie wyjątkowo*, w tymże samym Gerardzie, — łapie list żony pisany do mistycznego inżyniera. Tu poraz pierwszy wierzyby można, że ukaszony w serce zazdrością, chce się poprawić czyli zacząć odzakochania się we własnej żonie. Prosi ją więc o to, iżby miała z nim tyle cierpliwości, aż i on kiedyś do niej taki sam list napisze, na co księżna odpowiada wściekłym wybuchem zarzutów i krwawych obelg, wyznając mu nareszcie wprost, że kocha tego Gerarda. Gdy na to wchodzi pan Mauriceau, oznajmia mu ona swoje postanowienie, każąc za list schwytyany zapłacić księciu co zażąda. Więcej już ona go widzieć nie chce, ale książę pragnie się zemścić na niej i na inżynierze i dlatego prosi pana Clarkson na sekundanta.

Tenże pan Clarkson, jakkolwiek nie ma za co kochać swej żony, jest jednak szalenie do niej przywiązany. Tam w górach dzikich w Ameryce, zbiera dla niej miliony, do Paryża wpada tylko na 24 godziny, żeby jej zdać rachunki i pocałować ją w czoło, i oto jemu właśnie, także dziwnym, bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności, proponuje książę sekundanturę. Pan Clarkson przyjmuje; ale gdy się książę w rozmowie z nim, zbyt odsłania ze swoim niekieszmaem życiem, ten pali mu w oczy, że jest łotrem, a ponieważ czekać nie może, więc biją się natychmiast w parku przytykającym do hotelu i naturalnie Clarkson, niemając dużo czasu, krótko się z księciem załatwia.

Książę zostaje zabity.

Dodajmy do tego, że całej owej rozmowy między obydwojma, wysłuchiwała księżna za kotara. Poczująca się ona wprowadzić do kilku wykrzykników o sumieniu, ale potem siada spokojnie i czeka końca. Naturalnie, po zabiciu męża, przywdzieje żałobę, martwić się jednak nie potrzebuje, owszem powinna mieć nadzieję, że za jakich kilka miesięcy połączy się nareszcie z tym mistycznym a tak kolosalnie ukochanym inżynierem.

Ażeby treść tę uzupełnić, potrzeba przytoczyć teorię autora o *wibryonie*, bez której i sztuka cała byłaby nierozumiała, i uciuriałaby jego prozelityzm naukowy.

Cóżto więc jest?

Dr Remonin opowiada szeroko pani margrabinie, ogromnie długie lubiącej dyalogi, że śmierć ma swych robotników, którzy się zowią *wibryonami*. Nie są one, jak sądzą powszechnie: infuzoryami, ale pasożytami, czy żyjątkami przeznaczonemi na zniszczenie części ciała jeszcze zdrowych, jeszcze nieuległych zepsuciu i zgniliznie. Społeczeństwa, które są ciałem także, wytwarzają *wibryonów* w ludzkiej postaci, które jednak ludźmi nie są, a które czynią wszystko, ażeby zniszczyć do szczegółu ciało społeczne. Na szczęście, natura pragnie życia a nie śmierci, wydaje więc wojnę *wibryonom*, gubiąc je po pewnym czasie. „Słyszysz się wtedy jakiś szmer, — to co uważano za duszę *wibryona* ulatuje w powietrze, ale niezbyt wysoko. Książę umiera, książę umarł”.

Nie będziemy tu zwalczać teorii tej, fałszywej przedewszystkiem ze względu historycznego, fałszywej i ze względu prawdy życiowej, bo złym bywa często bardzo dobrze a dobrym bardzo źle, a przedewszystkiem nieszczęśliwie wymyślonej w zastosowaniu do utworu dramatycznego, który powinien stać na ogólnych prawdach a nie na jakichś specjalnych wymysłach, według których nakręcać się już mają nie tylko charaktery ale i moralność sztuki, ostatecznie równie godna zastanowienia, bo się jej widz instynktownie zawsze domaga.

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Świat roślinny w południowej Afryce

przez Dr Ant. Rehmana.

Mało jest miejscowości na ziemi, któreby na zwycajnym turyście na pierwszy rzut oka tak niekorzystnie sprawiły wrażenie, jak Przylądek Dobrej Nadziei. Zmęczony długą i jednostajną przeprawą morską podróżnik, wyczerkując zazwyczaj z rosnącą niecierpliwością chwili, w której będzie mógł zrobić rozbrat z wodnym żywiołem, a znużony widokiem nieograniczonej płaszczyzny wodnej wzrok jego, spocznie wreszcie choćby na chwilę na innych przedmiotach; ale, stanawszy u celu podróży, doznaje zazwyczaj zawodu, bo zamiast ożywionego krajobrazu, witają go tutaj sterczące dziko z morza szare skały albo nagie spłowiałe pagórki, pozbawione w zupełności szaty roślinnej, która słuszenie bywa uważana za największą ozdobę krajobrazu, bo łagodzi jego naturalną dzikość i przyczynia się do urozmaicenia jednostajności barw, a w braku której, każda miejscowość sprawia wrażenie pustyni.

A jednakowoż są podróżnicy (a do tych należy i autor niniejszej pracy), którzy Przylądek Dobrej Nadziei do najbardziej zajmujących miejscowości na ziemi zaliczają. Tworzy on niewielkie pasmo skaliste, którego największe wzniesienia nie przechozą 3,600 stóp wysokości, ale boki ich wznoszą się z morza w postaci stromych, niekiedy pionowych, dziko poszarpanych ścian skalistych, do których od strony lądu przypierają mniejsze zaokrąglone gliniaste pagórki. Zatoka Table-Bay, otoczona ze wszech stron pagórkami i zamknięta od strony morza płaską wysepką Robbin-Island, sprawia wrażenie wielkiego jeziora kolistego kształtu; w spokojnych jej wodach odbija się przez większą część roku najczystszy błękit południowego nieba; około brzegów uwijają się, zimą i latem, niezliczone gromady morskich ptaków i napełniają wrzaskliwym swym krzykiem powietrze, a od czasu do czasu ukaże się na powierzchni wody samotny pies morski, i płaczliwym swym głosem skarży się na przybyszów, co mu spokój zakłócają. Na południowym brzegu zatoki leży miasteczko Cape-Town, stolica kraju, niepokazna, ale czysta i schludna, a ponad miastem sterczy w niewielkiej odległości, znana zapewne czytelnikom z nazwiska, góra Stołu (Table-Mountain), w postaci olbrzymiej dzikiej i niedostępnej ściany skalistej, do której z lewej strony przypiera malowniczy wierzchołek, nazwany Diabłem szczytem (Devil's-Peak), a na prawo wznosi się podłużny grzbiet wyskakujący z jednej strony w stromy i niedostępny szczyt stożkowatej postaci, nazwany Lwią głową (Lions-Head), z powodu podobieństwa do lwa siedzącego z wzniesionym łbem, jakie przedstawia z odległości. Od strony stałego lądu, góry Przylądka Dobrej Nadziei wznoszą się również stromo i niedostępnie, jak od strony morza, a u stóp ich ciągną się tutaj płaszczyzny piaszczyste, tak zwane Cape-Flats, poza którymi widać w głębi kraju wydłużone pasmo gór nadbrzeżnych, złożone z szeregów wierzchołków skalistych, o zakrojach ostrych i malowniczych.

W tym stanie rzeczy trudno odmówić tej miejscowości wielkich zalet krajobrazowych i jeżeli raz ona niekiedy dzikością swoją wzrok turysty, to jedynie z tego powodu, że przyroda odmówiła jej szaty roślinnej, która by pokryła nagość tutejszych skał i wydum piaszczystych. Niekorzystne to wrażenie sprawia ona szczególnie w porze letniej. W południowej Afryce rozróżniają tylko dwie pory roku: zimę i lato. Lato trwa miesiące siedm, od początku Października aż do końca Kwietnia, a na Przylądku Dobrej Nadziei jest ono suchem. Deszcz nie jest w tej porze, szczególnie w głębi kraju, znany a widok chmurki na niebie bywa uważany za nadzwyczajne zjawisko. Wzdłuż brzegów morza zdarza się niekiedy, że i w porze letniej ukażą się na niebie chmury i zroszą na chwilę spragnioną zie-

mię, ale woda ścieka szybko po spadzistych stokach gór i nie przechodzi nigdy do głębi ziemi, w skutek czego i gleba wysycha silnie i przybiera twardość cegły; cała okolica cierpi na posuchę, a uprawa roślin pożytecznych jest tylko tam możliwa, gdzie udało się zaprowadzić sztuczne nawodnianie.

Szkodliwy wpływ posuchy zostaje zwiększonym przez panujący w tej porze wiatr południowo-wschodni, okrzyczany *South-eastern*: wieje on zazwyczaj bez przerwy po kilkanaście dni; pierwsze jego podmychy bywają dość łagodne, ale siła jego zwiększa się z każdym dniem i dochodzi wkrótce do tego stopnia gwałtowności, że osoby nerwowe bywają tym wiatrem doprowadzane do rozpacz. Gdy wiatr ustanie, ukazują się na niebie lekkie obłoczki, atmosfera się uspakaja, powietrze bywa nadzwyczaj przyjemne; ale chwila wytchnienia trwa krótko, bo na trzeci, a najdalej na piąty, dzień gość nieproszony znowu się zjawia. Wiatr ten wieje od strony morza i przynosi dość znaczne zasoby pary wodnej, ale nie sprowadza pomimo tego nigdy deszczu, bo para wodna utyka o rozgrzane na słońcu skały nadbrzeżne, ulega jeszcze silniejszemu rozproszeniu i bywa pochłaniana przez suche powietrze pustyń poza górami położonych. Tylko wierzchołek góry Table Mountain pokrywa się w czasie wiatru cienkim pokładem gęstej mgły, która przylega do skalistej jego gleby, chroni ją przed zupełnym wyschnięciem i dlatego niższe miejsca na wierzchołku góry są i w porze letniej pokryte dość bujną roślinnością. Mgłę na wierzchołku góry nazywają w mieście „obruś” (table-cloth) i mówią o nim jak się mówi o stole „nakryty dzisiaj”, albo „nie nakryty”. Popychana wiatrem, mgła, dostawszy się nad brzeg przepaści, spływa po pionowej ścianie i niknie dopiero u jej podstawy, wskutek zetknięcia się z cieplejszymi kamieniami, a widziana od strony miasta przedstawia wspaniały wodospad, wysoki na przeszło tysiąc stóp, w którym mgła miejsce wody zastępuje.

Najniekorzystniejsze wrażenie sprawiają tutaj w porze letniej skały i pagórki gliniaste, bo afrykańskie słońce wypala na nich wszystkie delikatniejsze rośliny; trawy i zioła schną szybko i w pył się rozlatują; pozostają tylko kołczate aloesy i mięsiste Mesembryanthemy, pokryte tak grubym pokładem pyłu, że barwa ich spływa się z barwą ziemi, na której rosną. Nawet drzewa po ogrodach wędną w tej porze i najsmutniejszy przedstawiają widok. A pomimo to gleba taka jest ulubionym schronieniem dwóch zamorskich przybyszów, sprowadzonych z Ameryki, a obecnie przyswojonych na całym obszarze kolonii. Jednym z nich jest kołczata Opuncja, używana wszędzie na żywe płoty, a drugim Strzelna amerykańska (*Agave americana*), nierzadka w naszych szklarniach i przewana u nas stuletnim Aloesem; utrzymywana tutaj prawie wszędzie po ogrodach, udaje się doskonale i kwitnie corocznie; jej grube i mięsiste liście są ułożone w rozetę, dochodzącą do siedmiu stóp w średnicy, a łodygi kwiatowe, wysokie na dwadzieścia stóp, są u wierzchu rozgałęzione w postać kandelabru. Obie te rośliny nadają tutejszym ogródkom cechę egzotyczną.

Nieco lepiej sprzyja rozwojowi roślin gleba piaszczysta, bo pochłania wodę deszczową tak szybko, że ani jedna jej kropla straconą nie zostaje i chociaż zewnętrzny pokład piasku wysycha, to w niewielkiej głębokości pod jego powierzchnią znajduje się cały rok zasób wilgoci wystarczający do wyżywienia mniejszych roślin. Dlatego też piaszczyste wydmy za miastem daleko bujniejszą cieszą się roślinnością. Są one pokryte obfitym zarostem drobnych krzewów, niskich, niekiedy przylegających do powierzchni ziemi, a roślinność tych miejsc przypomina na pierwszy rzut oka wrzosowiska północnej Europy. Liczba gatunków wchodzących w skład tego zarostu jest bardzo wielka, a bogactwo postaci prawie niewyczerpane, lecz mają one jedną wspólną cechę: listki ich są nadzwyczaj drobne, występują czasami tylko w postaci małych kłusek, przycięzionych do łodygi i gałęzi i dlatego pod koniec lata, gdy pora kwitnienia przeminie, zarosty te nużą wzrok jednostajnością, a zwyczajny turysta nie zdołałby wówczas ocenić ich rzeczywistej wartości. Piaszczysta tutejsza są nadto ulubioną siedzibą roślin trawiastych, należących do

rodziny Restiaceae; liczba gatunków jest również wielka, ale postać typowa prawie u wszystkich tak sama; sztywne i ogołoczone z liści, łodygi tych roślin, przypominają postać nasze sitowia i w podobny sposób, bo tworzą rozrzucone kępiny wśród zarostów krzewiastych. Ażeby uzupełnić obraz roślinności tych miejsc, nadmienię jeszcze tylko, że są one ulubionymi siedzibami afrykańskich Mesembryanthemów, których grube, mięsiste liście nawet w czasie największej posuchy nie tracą swej świeżości i widziane zdaleka wabiają wzrok najżywszą zielenością.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Koniec roku.—Straty i nabytki.—Wszędzie bieda. — Co to będzie?—Summa roku w literaturze niemieckiej — Zasługi naukowe Niemiec.—Podział pracy.—Niezgrabstwa. — Shakespeare dla dzieci. — P. Liebau — Jeszcze roczne sprawozdanie. — Dziennikarstwo. — Almanach Bodenstedt'a. — Waldmüller-Duboc. — Sekundant. — Treść jego. — Heyse: *Beppe Gwiazdarz*. — Rudolf Lindau: *Chustka czerwona*. — Miłość niema. — Nowelle P. E. Flygare-Carlen. — Spuszczona po Devrient — Dawson. — Dziennik z czasów młodości. — Levyson'a. Z czasów pierwszego cesarstwa. — Erckman i Chatrian, literacy bracia Siamscy. — Coś z ich życia i charakterystyki.

(Dokończenie).

Główną zaletą powieści Duboca jest to, że typy, które w niej działają, są bardzo żywe i naturalne. Zamek barona, dwór podupadłego szlacheica, ów mniemany kuzyn łotrzyk, odmalowani przewybornie.

Powieść jest zajmująca; lecz jest to tylko niewielkich rozmiarów nowella, tak jak Pawła Heysego: „Beppe Gwiazdarz” (*Beppe der Sternescher*) udatny obrazek, trochę drażliwej treści, ale ślicznie namalowany. Pierwsze wystąpienie w nim Beppiny, figurka ta, taka czysto-włoska, po mistrzowsku pochwyciona, a zakończenie choć nietragiczne — zręczne. Dla nas jednak jest w tem wszystkim coś rażącego wyborem przedmiotu, który stosunek matki do córki w sposób drastyczny nazbyt porusza.

Pisze się dużo nowell. Brat znanego Pawła Lindau, Rudolf, w piśmie peryodycznym, redagowanym przez pierwszego, umieścił, nie bez talentu napisaną, *Chustkę czerwoną*.

Baronowa Joanna, występująca w tem opowiadaniu malarza, jest wcale oryginalną postacią.

Nie mówi ona prawie nic; oboje kochankowie są niemi: pomimo to miłość milcząca, dziwna, cała w sobie zamknięta, przedstawia się wyraziście i dobitnie. Autor, widocznie, za rodzaj motywu wziął sobie przedstawić istotę skąpą w słowa, a głęboko czuć umiejacą i wywiązał się z tego zadania szczególnie. Malarz tylko jest typem nie-nowym i mniej sympatycznym.

Pani Emilii Flygare-Carlen, znanej i ulubionej powieściopisarki, pięć nowych powieści, pod ogólnym tytułem „*Drogi życia*” ukazały się po niemiecku.

Po zmarłym Edwardzie Devrient pozostał, jak mówią, rękopism niedokończony; dwutomowa biografia A. W. Ifflanda, która zapewne wydana zostanie. Devrient mimowolnie przypominał nam Dawsona. I po nim coś zostało, wiele zajmującego, dziennik jego lat młodszych, gdy w kraju jeszcze pierwsze na scenie stawiał kroki. Wyciągi z tego dziennika mieliśmy sobie udzielone i daliśmy je Redakcyi *Gazety Warszawskiej*.

Zaszła podobno jakaś protestacya ze strony żony zmarłego Dawsona przeciw ogłoszeniu, chociaż nas później zapewniano, że cofnięta została. Gdyby redaktor gazety, pan Józef Kenig, chciał ten rękopism zużytkować i dopełnić, nie wątpimy, że obudziłby żywe zajęcie. Nie może on ująć sławie artysty, owszem, nakazałby go nam w świetle nowem, rzeczywistości, przypominałby go i wstręcił pamięć niezaprzeczenie znakomitego artysty i człowieka.

Pojmujemy poszanowanie żyjących, dyskretyę należną wobec życia prywatnego, którego wielu stron odsłaniać się nie godzi; ale jest w tem częstokroć przesada grzeszna, uwłaczająca pamięci zmarłych, których kamieniem niezasłużonego zapomnienia przywała.

Nie wiem czyśmy wspominali w poprzedzających listach, Arthura Levysohn'a ciekawą książeczkę *Z czasów jednego cesarstwa* (Grüneberg). Levysohn długo pracował we Francji i to cesarstwo jest ostatkiem panowania Napoleona III. Naturalnie exmittowany żurnalista maluje Francję jaskrawo, drastycznie, lecz w sposób zajmujący. Oburzenie, szyderstwo, widzi i odwzorowuje jednostronnie, lecz ta jedna strona, jaką przedstawia, ma zawsze dużo barwy i trochę prawdy. Pan Levysohn, z powołania dziennikarz, reporter, widział i słyszał wiele, zapamiętał wszystko, nawet to, o czem może zapomnieć się godziło. Między innemi jest tu ciekawa biografia tego dwutwarzowego zjawiska, które się zowie *Erckmann-Chatrian*, tej wspólki dwóch siamsko zrosłych talentów, zdających się jeden stanowić.

Przyznajemy się, iż i my długo wystawialiśmy sobie autora *Fritza i Polskiego żyda* jako człowieka jednego o dwóch imionach, nie przypuszczając, aby coś tak indywidualnie nacechowanego jak opowiadania alzackie, mogło być owocem kollaboracyi. Kollaboracya to prawdziwie idealna, bo śladu jej niema w jednolitych powieściach.

Tymczasem Emil Erckmann, syn księgarza z Pflzburga, w r. 1842 sposobił się na prawnika w Paryżu, gdy o cztery lata młodszy od niego Aleksander Chatrian, w Belgii pracował około fabrykacji szkła. Zajęcie to techniczne nie smakowało mu i porzuciwszy szkło wrócił do szkoły, gdzie przyjął obowiązki korepetytora, aby móżdżkończyć własne studia.

Tu się poznali siamscy bracia, pokochali — i stali nierozłącznymi. Zaczęli tedy pisać owe naiwne historyjki alzackie, ale jak się to zdarza wielu, nie było na nie odbytu. Z wielką biedą drukowano je w prowincjonalnych gazetkach, w których tonęły nieznane. Przenieśli się potem do Paryża. We Francji Paryż tylko dać może rozgłos i sławę. Pierwsza *Revue de Paris* w r. 1869 wydrukowała *Doktora Mattheusa*, z którego rękopismem w kieszeni pół roku napróżno nosił się Chatrian, i *Doktor* miał szczęście! W Paryżu z dnia na dzień staje się sławnym, na to potrzeba trochę szczęścia i dużo wrzawy. Pierwszy szerszych rozmiarów romans dwu współpracowników, *Óchotnik* z r. 1792, drukowały *Debaty* w r. 1863. Miał on już około trzydziestu wydań. Ostatnie znaczniejsze dzieła Erckmann-Chatriana są: *Historia chłopca* i dramat *Polski żyd*.

Levysohn tak ich obu maluje: „Z powierzchowności sądząc, z nich dwu Erckmann jest bardziej Niemcem (!) Bojaźliwy i niechętny we wszystkich rzeczach praktycznych, jak niemiecki profesor, nieprzyjaciół tak zwanego „towarzystwa” i obowiązków, jakie ono wkłada, żyje Erckmann głównie dla siebie i swej pracy. W Paryżu rzadko mu było dobrze i dopiero wolniej oddycha, gdy może swobodnie błądzić po swoich górach, gawędzić z węglarzami i flisakami. Rano wstawszy, poczyną dzień od długich cytat z komentarzami, z ulubionych swych dzieł, z Biblii i bajek Lafontaine'a. Chodząc pracuje w duchu nad wielkim swem dziełem, epopeją *Rewolucyi francuskiej*, której już dzieści tysięcy wierszy ma gotowych, ale ani jednego napisanego. Ciągłe ją poprawia (w głowie), a z zajęcia swego prawniczego takiej nabył pamięci, że nie tylko text, ale wszystkie jego odmiany umie doskonale. Przy nim przyjaciel Chatrian gra rolę czegoś w rodzaju ziemskiej opatrności. On mu każe szyć frak czarny, gdy potrzeba; on przyjmuje nieuniknione zaproszenia (dawniej np. redaktora *Debataw*, Bertin'a). On układa się o honoraria, robi umowę z dziennikami i księgarzami; sam prawie wszystkie czyta korekty i pilnuje, aby, drażliwy i wrażliwy, jak wszyscy poeci, Erckmann nie dowiedział się o czemś niepotrzebnie, co by go wzburzyć mogło. Chatrian na pochwały i naganę jest dość obojętny. Jest dotyła filozofem, że wszelką krytykę znieść potrafi, a dotyła sceptykiem, że się bez pochwał obejść może... Tak się oni obaj dopełniają wzajem i wystarczają sobie”.

„Przystając też na tem, nie pożenił się, zostali starymi kawalerami—choć Chatrianowi szczególnie, świetnie się partye trafiały.

Rzadko coś podobnego w świecie się spotyka, a w literackiej sferze mniej jeszcze niż w innych. Prędzej i łatwiej się pojmuje kollaboracya w dramatycznych dziełach, gdzie praca podzielić się daje na osnowę, uscieniczenie i wykonanie, sił wcale odmiennych wymagające, sił, które często nie chodzą z sobą w parze; ale w powieści?? Jest to fenomen zupełnie wyjątkowy, który zapewne nierychło się drugi raz powtórzy.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż 22 Grudnia 1877 r.

Chwilowe uspokojenie we Francji.—Niepewność.—Słowo Voltairera o tragedji *Gorboduka*.—Wiadomości literackie. Dwie książki polityczno-religijne i dwaj mężowie stanu, Włoch Minghetti i Castelar Hiszpan, na polu literackim. — *Kościół i Państwo* pierwszego; *Sztuka, religia i natura we Włoszech* drugiego. Tissaniera *Historja moich podróży w balonie*.—Językoznawstwo potównawcze i jego dzisiejsze znaczenie w nauce.—*Mieszaniń mitologii i lingwistyki* p. Michała Bréala. — Don Garofi i Marot: *Słowo o dzwonach*. — Ciekawe szczegóły tej książki. — Osobiste wspomnienie korespondenta o szkolnej dzwonnicy. — Jeszcze słowo o telefonii; zastosowanie praktyczne i przyszłe nadzieje w liczbach.

Cóż można powiedzieć o tutejszej polityce, czego byście sami nie wiedzieli—wy, co macie: telegraf, pocztę i dzienniki? Rzeczy się ułożyły, powiadają, niech i tak będzie—ale nie śpiewajmy *Hasanna!* bo tu wszystko możliwe. Nie prorokujemy, bo to cześć domysły tylko, z których nie wysnujesz żadnej konsekwencji prawdziwej; a im bardziej się przechylisz na stronę rozumu, zdrowego rozumu, tem prędzej wpadniesz w łapkę i następstwa zadadzą ci kłamstwo. Rzeczy się ułożyły na dzisiaj, a więc *carpe diem*—i czekajmy co dalej nastąpi. Dwa pierwsze akta skończone, a może się stać jak w owej tragedji *Gorboduka*, o której Voltaire w swoim drugim liście o Shakespearze tak się wyraził: „Lord Buckfurt, jeden z przodków lorda Dorseta, napisał tragedję *Gorboduka*. Był to sobie dobry król, mąż dobrej królowej; w pierwszym zaraz akcie rozdzielił oni swoje królestwo pomiędzy dwóch synów, którzy się o ten dział spierali. W drugim akcie młodszy dał w twarz starszemu; starszy w trzecim akcie zabija młodszego; matka w czwartym akcie zabija starszego; król w piątym akcie zabija królową Gorbodukową, a zbuntowany naród zabija króla Gorboduka, tak, że na koniec nie zostało nikogo!”

Dobre to są żarty kochanego Voltairera, ale praktykować ich w życiu nie zyczylibyśmy nikomu, a najpierw sobie samemu. Przecież bywało już różnie na świecie i historye pocziwego *Gorboduka* nieraz się zdarzały—wszystkiego można się spodziewać! „Spodziewaj się—mówił do rozwiązłego syna, pewien kastyljski hidalgo—spodziewaj się, że cię powieszają! a jeśli tylko kijem wygarbują ci skórę, będzie ci się zdawało, że jesteś najpocziwyszym z ludzi!” Przejdźmy do literatury. Nie wiele tu znajdziemy ważnych, mniej jeszcze zabawnych rzeczy. Polityka pożera wszystko. Drugi tom *Zbrodni* Wiktora Hugo zatytułowany „*Rzeń*” nie ukazał się na świat w obiecaną pierwiastkowo rocznicę 2 Grudnia. Trzeba więc przejść *ad minores*.

Nowa szkoła polityczna wydała we Włoszech i w Hiszpanii dwa nowe dzieła różnej wartości literackiej, ale mające na celu jakiejś wspólnej dążność, dążność bardzo dziś w modzie: napastowania religii... Pisarz włoski, umysł wyższy, wytrawniejszy, oswojony z przedmiotem, którego samej dotyka się rdzeni, ma poglądy wyższe na rzeczy i nawet, niepodzielając wszystkich części jego wykładów, można mu oddać sprawiedliwość, że rozprawia poważnie i ze swego punktu widzenia zdrowo się zapatruje na wielkie i ważne zadanie, któremu poświęcił swą pracę.

Inaczej wcale dzieje się z Hiszpanem. Literat niedouczony, umysł lekki i niespokojny, pisarz wywieszony na dziennikarskich szpaltach i dotykający zaledwie powierzchni każdego zadania, okazywał się on w książce swojej, jak niegdyś w polityce,

tymże człowiekiem drobnostkowym, swarliwym, łatwobiorącym ułudę za rzeczywistość,—jednym słowem, jest on małej wartości i jako myśliciel i jako spostrzegacz, a książka jego to zbiór starych komunałów.

Pisarz włoski—Minghetti, dawniejszy minister królestwa włoskiego i polityk ze szkoły Cavoura; dzieło, którego jest autorem, nosi tytuł: *Kościół i Państwo* (*L'Eglise et l'Etat*). Nie mogę tu wehodzić w rozbiór szczegółowy tej książki, bo to wymagałoby obszerniejszych ram, niżli ich ta korespondencya dać zdoła; nie mogę roztrząsać dorywczo tej ważnej kwestyi, którą się zajmuje jeden ze znakomitszych włoskich mężów stanu; w treści więc tylko wskażę tu fakta i myśli, jak je wyklada autor.

Pan Minghetti rozpoczyna swe dzieło od jasnego i sumiennego wykładu, jakby skróconej, historyi walk, które przez wiele wieków staczały z sobą w Europie władza doczesna z władzą duchowną, i które, oswobodziwszy na koniec tę ostatnią z pod jarzma władzy cesarskiej, sprowadziły pierwszy stopień rozdzielenia pomiędzy niemi i spowodowały zarazem, w czasach wielkiej reformacyi, zupełne zerwanie wszelkich stosunków pomiędzy wielu państwami a kościołem rzymskim i stolicą apostolską. Później i w czasach bliższych, jakby nam współczesnych, nastąpiła epoka konkordatów, które pan Minghetti uważa za pewien rodzaj postępu w tym ważnym zakresie życia.

Autor mniema zresztą, że ruch ten nie zatrzyma się wcale na tym punkcie i że, oddzielenie się zupełne kościoła od państwa nastąpi koniecznie, że ten niezbędny wypadek dopełni się prędzej czy później i że to spełni się skutkiem okoliczności niezależnych od nikogo na świecie. Pan Minghetti zastrzega wszakże, że w dzisiejszym stanie rzeczy wielkie i ważne nader przeszkody utrudzają niezmiennie ostateczne spełnienie tego rozdzielenia, że doświadczenia czynione w tym względzie nie wydały bynajmniej pomyślnych skutków, jakich należało się spodziewać, i że w krajach katolickich opinia powszechna nie jest im bynajmniej przychylną.

Taki jest ogólny zarys i osnowa dzieła, które, jak powiedziałem z góry, napisane i pomyślane jest poważnie, a jakiegokolwiek moglibyśmy mieć zdanie w tym względzie, potrzeba przecież przyznać, że książka pana Minghetti'ego jest dziełem o prawdziwym męża stanu i filozofa, we właściwym i dobru znaczeniu obu tych wyrażań.

Przejdźmy teraz do hiszpańskiego dzieła pod tytułem: „*Sztuka, religia i natura we Włoszech*” (*L'Art la Religion, et la Nature en Italie*) (2 tomiki, in 12-o). P. Emilio Castelar adwokat i ex-prezydent rzeczypospolitej hiszpańskiej, wydał na świat dwa tomy, które rozechwytały dosyć łapczywie na wiarę nazwiska autora, ale do których żaden z czytelników nie wróci zapewne. Oprócz bowiem niektórych opisów, gdzie zapewne i nie bez świetności pióro tego pisarza umiało sprowadzić pewne efekta barwnego i pełnego blasku stylu, reszta przypomina ciągle czytelnikowi to nieprzyjemne położenie pisarza, który poraż tysiączny conajmniej musi powtarzać opowiadanie o tem, o czem tytuł a tytuł przed nim pisał i sumiennie i lepiej. Jednem słowem, nie znaleźliśmy w tych dwóch tomikach nic a nic, coby godnem było prawdziwie uwagi artysty, literata, myśliciela, a nawet prostego pielgrzyma. Co nuży i zniechęca w tej książce, jest to wieczne usiłowanie autora, zamiast opisów i malowideł rzeczy, na które patrzy, rozprawianie i dysputowanie bez końca i miary. Cokrok pan Castelar wyprowadza na scenę własną swą osobę, opowiada swoje nieszczęścia, prześladowania, jakie wycierpiał, mówi o tem, gdzie, kto i jak nazywa go wielkim człowiekiem, sławnym mężem i wtajemnicza nas we własne swoje wyobrażenia i myśli, które mało, albo nie wcale nie obchodzą czytelnika i które w ostatecznym wypadku są panteizmem najgorszego gatunku—wyszliśmy już dawno z obiegu albo niedostatecznie wyuczonym i zrozumianym racjonalizmem. Wszędzie widać i czuć wygadane go adwokata, który się wynosi i pyszni, i to adwokata w hiszpańskim płaszczyku, z gitarą w ręku.

Pan Castelar pozwala sobie jeszcze owych starych, zapomnianych dzisiaj, żarcików o włoskiej

dewocyi, przy każdej zręczności puszcza się w deklamacye przeciw zbytkowi dworu rzymskiego, rozumie się, papieżkiego; ciska pioruny na pogańską wystawę religijnych obrzędów i łyżę wylewa nad nieszczęśliwym położeniem żydów, którym przecież papież dzisiejszy, Pius IX, otworzył bramy sławnego Ghetto i którzy, jak się dowiadujemy od samegoż autora, używali w tej swojej osobnej dzielnicy nieśmiertelnego grodu, przywileju, wygodnego bardzo, najmowania tanio mieszkań podług niższej na ten cel taryfy, postanowionej z woli samego papieża.

Co się zaś tyczy w tym dziele wyobrażeń filozoficznych, moralnych uwag i historycznych poglądów ex-prezydenta, dosyć jest przytoczyć następujące słowa autora, ażeby mieć zupełne wyobrażenie o ich głębokości. „W Europie, powiada p. Castelar, ci, którzy myślą i wierzą, nie modlą się wcale, a ci, którzy się modlą—ani wierzą, ani myślą!”—a dalej: „My zachodnie ludy, nie jesteśmy wcale rasą religijną”. A gdzież—to głębiej wierzone? Gdzież-to religia chrześcijańska znalazła gorętszych bojowników, śmielszych obrońców, wierniejszych wyznawców?... Zkąd-to wyszły krucjaty i cały ten szereg, zastęp, całe to wojsko świętych męczenników, którymi się chlubi nasz kościół? Pisać takie rzeczy tak lekkim, nierozważnym piórem to nie do darowania ex-prezydentowi i współrodakowi takich mężów i takich pisarzy współczesnych, jakimi byli Balmes i Donoso Cortes!

Słowem, oprócz niedowiarstwa, bezbożności i literackich dziwolągów, niewiele znajdzie się w tej książce do zapamiętania. Piękne, ale rzadkie próby poetycznych opisów nie mogą okupić mierności i niskiego poziomu poglądów na to, co mogło przecież podnieść ducha pielgrzyma, gdyby tym pielgrzymem był rzeczywiście wyższy i znakomity mąż stanu, za jakiego pragnie uchodzić pan Castelar.

Nietrudno nam znaleźć obok siebie nawet lepszych i miłszych towarzyszy podróży do Włoch. Wspomnę tu o kilku tylko: „*Rzym i jego okolice*” (*Rome et ses environs*) przez Robello, bardzo wierny i kompletny opis; „*Podróż do Rzymu*” (*Voyage à Rome*) przez ks. Fournier'a, wymownego biskupa Nantejskiego, zmarłego w ostatnich czasach. Jestto zachwycająca książka, gdzie się maluje wiernie serce kapłana i dusza artysty, który zniósł w Nantes wspaniałą kościół S-go Mikołaja; „*Chrześcijańska w Rzymie*” (*Une Chrétienne à Rome*) jakby okrzyk miłości i zachwytu bezimiennej autorki „*Rzym i jego kościoły, pomniki i zakłady*” przez ks. Rollanda, i na koniec: „*Rzym i kościół S-go Piotra*” (*Rome et le Saint Pierre*) przez księdza kanonika Lamurc'ego, z piękniemi bardzo sztychami i t. p. Czytając te dzieła,—gdzie nauka, erudycya i głęboka wiara przyjmują, jakby z namysłu, światową powłokę, uczą bez przymusu, bez gwałtu, opowiadają skromnie, ale z wielkim wdziękiem, prowadzą jakby za rękę tych, co pierwsze stawiają kroki na tej czarownej ziemi i którym jej piękność, jakby olśniona zamyka oczy na wszystko.—budzą wspomnienia i myśli tych, co już sami żyli w tej krainie i badali jej przeszłość i dzisiejsze życie. Słowem, książki te jakby prawdziwe *vade me cum* pielgrzyma, podnoszą ducha, ukrzepiają serce i zostawiają w umyśle wspomnienia doskonalsze, czystsze, lepsze—bo zrozumiałe i wierniej pojęte. Rozbiór ich byłby tu zbyt długim, bo powtarzanie stałoby się nieuniknionym szkopułem dla pisarza; wolę więc zostawić to na własne usposobienie każdego—pewien, że czytelnik wdzięczny mi będzie.

(Dokończenie nastąpi).

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Lwów w Grudniu 1877 r.

(Dokończenie).

Księgarnia Wł. Belzy, która pomimo krótkiego istnienia swego wcale sporym poszczycić się już może plonem pożytecznych i pięknych wyda-

poszytowej „*Antologii poetów polskich*“, w salonowym wydaniu. Od czasów słynnych w swoim czasie *Kleynatów poezji polskiej* Szczepańskiego, książki zupełnie wyczerpanej w handlu księgarskim, tudzież *Skarbczyka* Petersburskiego z dosyć niefortunnym wyborem, nie w tym rodzaju nie mieliśmy, pomimo, że pożyteczność takich antologii z należytym zrozumieniem rzeczy i dobrym smakiem wybranych, nie ulega wątpliwości. Obecny wydawca należy sam do drużyny utalentowanych poetów, daje więc pewne rękojmię estetyczną, a obok tego wesprze się na radach i wskazówkach wytrawnych znawców, którzy chętnie przyłożą się do złożenia dobrej całości. Antologia będzie zupełną, bo zawręć ma całe pasmo poezji ojczystej od jej pierwocin, Reja i Kochanowskiego, aż do ostatniej doby. Literatura naukowa niewielki zwyczajnie zbiera zasilek ze Lwowa, pomimo, że mamy tu dwie akademie, kilka towarzystw naukowych i kilka głośnych imion na polu piśmiennictwa. Conajwięcej, od czasu do czasu pojawia się przekład. I obecnie zaznaczyć mi wypada wydanie dwutomowego dzieła Karola Hagena: *Dzieje najnowszych czasów* (Księgarnia polska), doprowadzającego historię epoki współczesnej do r. 1848.

Bujnięć za to tryska ponik życia artystycznego. W teatrze wiele nowości. Trzyaktowa komedia hr. Alexandra Fredry *Ożenić się nie mogę* należy do rzędu takich utworów, jak: *Givattu, co się dzieje!* lub *Damy i huzary*. Chodzi w niej o chwilę pustoty. Treść splata się z uwodzeń męża przez żonę i żony przez męża, a obojga przez własną córkę. Zapewne, że to wszystko nie trzyma się w granicach surowej etyki, ale w każdym razie istotnej szkody moralnej nie wyrządza, gdyż motyw uchwycony został ze strony ściśle humorystycznej. Przy doskonałej grze artystów, a zwłaszcza p. Dobrzańskiego w roli biednego Floraka, który nigdzie ożenić się nie może, mimo, że dokoła niego wszyscy się żenią, farsa rozkoszne sprawia wrażenie; w każdym rysie znać zacięcie mistrzowskiego dłuta, a w splocie i rozwoju intrygi więcej dostrzegłszy pomysłowości i ruchu aniżeli w wielu utworach Fredry poważniejszego pokroju. Dramat Gustawa Fiszera *Thea* należy do utworów głębiej poczytanych i serdecznie pomyślanych, może to nawet przysporzyło mu sentymentalnego kolorytu nad miarę, w każdym razie lepszy on aniżeli chłód w pomysłach i formie. Treści opowiadać nie będę, bo wysnuła się ona z tej samej przędzy, co sławna *Dalila* Feuilleta. Tylko postacie są tu swojskie a talent — mniejszy... Zapewne p. Fiszera nie dostrzegł jaskrawego pokrewieństwa idei, która zagrzała jego wyobraźnię, że to wszystko, już gdzieindziej szczęśliwie, a nawet po mistrzowsku, przelany w formę dramatyczną. Bogactwo naturalnego uczucia, a co za tem idzie, poetycznej wrażliwości w młodym autorze, pewien oryginalny pokrój słowa, nie bez wdzięku i polotu, zręczne grupowanie efektów i pewna zewnętrzna znajomość warunków scenicznych, dają panu Fiszera grunt do pracy na polu dramatycznym, nie bez rękojmi powodzenia.

Muzyka parę już miała dni chwały w obecnej porze, pomimo, że tutejsze konserwatorium muzyczne pod sterem p. Mikulego nie rozpoczęło jeszcze swych klasycznych koncertów. Z tem większą większą werwą i brawurą krząta pan Marek, dyrektor Towarzystwa muzycznego *Harmonia*, trzymający sztandar przeciwnego obozu w tutejszym świecie muzycznym. Obydwa te obozy zajęły oddawna względem siebie stanowisko Montecchich i Capulettich. Pan Marek rozpoczął już w pięknej sali Kasya miejskiego szereg wieczorów muzycznych z ożywionymi i postępami programami. Ostatni wieczór poświęcony był prawie wyłącznie popisowi najlepszej obecnie fortepianistki naszej, będącej chlubą pana Marka, panny Felicji Światalskiej. Sledzimy z uwagą rozwój tego świetnego

talentu, w którym odkryliśmy tak głębokie i tak subtelne poczucie artystyczne, iż nie wahamy się przepowiedzieć pannie Światalskiej, udającej się obecnie po zaokrąglenie metody do Liszta, wybitnego stanowiska na horyzoncie muzyki współczesnej. Panna Światalska tak jeszcze jest młoda, że wniknięcie jej tak poważne w utwory zaprawne prawdziwą metafizyką tonów, jak np. koncert *es-dur* Liszta, grany na ostatnim koncercie, nazwać musimy intuicją. Kto zaś ma intuicję tak bystrą w rzeczach sztuki, ten stwierdza, że otrzymał boży chrzest na artystę. Z pojęciem i smakiem łączy młoda wirtuozka technikę wytworną i nieznaną już prawie mechanicznych tajemnic. Koncert panny Światalskiej uświetniła pani Ładnowska deklamacją *Niebezpiecznej* Ujejskiego, — tej pełnej wdzięku, woni poetycznej i dowcipu barkaroli salonowej. Dawno nie widzieliśmy gry p. Ł. i tem milej było nam stwierdzić, że utalentowana artystka z każdym dniem widoczne robi postępy. Wdzięk i majestat posiadała ona zawsze; obecnie dostrzegłszy ślady coraz głębszego wnikaną w żywioł psychiczny, i — co prawie tyle, a może i więcej znaczy — dosłyszeliśmy tętna szczerzego uczucia. Przy inteligencji i klasycznej piękności pani Ł. odkopanie źródła prawdziwego zapału i natchnienia da nam niebawem w artystce jedną ze znakomitszych przedstawicielek dramatu na scenie polskiej.

Melomanowie nasi w tych dniach pieszczoła ucho pasmem prawdziwie rozkosznych wrażeń: zaledwie opuściła nas znana fortepianistka, Wiara Timanow, ze znakomitą skrzypką Emilem Sauretem, impressario Strakosch zapowiada występy słynnej śpiewkówny i wdziękami primadonny z londyńskiego: *Her Majesty's Theatre* Emilii Chiomi. Na pierwszy raz śpiewa ona *Matgoisę* Gounoda, która ma być jej najpoetyczniejszą kreacją.

WIADOMOŚCI

Literackie, artystyczne i naukowe.

— I — *Julia Kavanagh*, powieściopisarka angielska, znana u nas więcej niż inne przez liczne tłumaczenia jej utworów, umarła w Nicei d. 28 listopada, roku ubiegłego. Była ona z rodu Irlandka, urodzoną w r. 1824 w Thurles, jedyną córką znanego w swoim czasie pisarza i publicysty, Morgana Kavanagh, przyjaciela Moora i niemniej gorącego jak ów poeta patrioty irlandzkiego. Wskutek politycznych przejęć swego kraju, zmuszony on był porzucić na długie lata ojczyznę i przyszła autorka chowała się głównie we Francji, nabywając tym sposobem znajomości obyczajów francuzkich oraz zamiłowaniu do literatury francuzkiej i wogóle do kraju, który uważała za drugą swoją ojczyznę. W dwudziestym roku życia przybyła do Londynu i zaraz wystąpiła jako pisarka. Pierwszym jej utworem była powiastka dla dzieci, drukowana w r. 1847: *Trzy ścieżki*; przeciw literackiej jej stanowisko ugruntowało się dopiero przez utwór drugi z kolei, wydany w rok później: *Magdalena*, powieść Owerniaka. Wkrótce potem wyszła innego rodzaju jej praca: *Francuzkie kobiety osmnastego stulecia*, lecz znowu trzeba jej było porzucić państwo Wielkiej Brytanii i udać się na ląd stały, gdzie przebywała czas długi, bawiąc we Francji, Szwajcaryi i Włoszech. Owocem tych lat był szkic podróżniczy: *Lato i zima w obydwóch Sycyliach* (1858) i dwutomowe dzieło: *Uczone kobiety francuzkie* (1862), a dobre przyjęcie tej ostatniej pracy zachęciło autorkę do napisania zaraz, jakgdyby dalszego jej ciągu, pod tytułem: *Uczone kobiety angielskie*.

Przytem powieści szybko płynęły jej z pod pióra. Angielska krytyka stawia najwyżej *Adelę* i *Królową Mab*, rzeczywiście *Adela* (tłumaczona w Tygodniku Ilustrowanym) i *Dora, panna bez posagu* (drukowana w naszym piśmie), należą do najlepszych, cechą zaś wszystkich jest wielkie ciepło uczucia, styl żywy i poetyczny, coś z francuzkiego porywu, złączonego z tradycyjnym w angielskiej literaturze malowaniem domowego życia i stosunków rodzinnych. Wszystkie niemal osobistości jej utworów są irlandzkiego pochodzenia, a widownią, na której rozgrywają się losy ich żywota, jest Francja, a jeżeli talent Julii Kavanagh nie dosięgnął wyżyn, na których przebywają gieniusze, jeżeli nie zapalał się ogniem wielkich namietności i nie malował tragedji, powstających ze starcia wielkich idei, był to niemniej talent szlachetny, nigdy nieznijający się do pospolitości, niegoniący za efektami. Nie błyskotliwe ich fajerwerki, ale rzeczywiste a zawsze czyste uczucie ożywiało jej powieści. Była to dusza piękna i poetyczna, a cicha, słodka i prawdziwie kobieca: takimi też są wszystkie utwory wyszłe z pod płodnego i łatwo piszącego pióra.

Ostatnia powieść zmarłej: *Dwie lilie*, łączy w zajmującym i często wzruszającym dramacie losy starożytnego budynku z losami budowniczego, który ma go dźwignąć z ruiny. *Dwie lilie*, są to dwa żywe kwiaty, dwie młode dziewice, z których jedna umie być rozsądną i praktyczną lilią, upiększającą dni zwyczajnego życia, druga ma w piersi swojej siłę wyższą i zdolna jest zakwitnąć wierną miłością w chwilach cierpienia i niepowodzenia, roztoczyć woń swoją między ruinami zawiedzionych nadziei.

Wadą powieści jest rozwlekłość i nieskocentrowanie dostatecznej akcji głównej. Większość osób, a szczególnie drugorzędnych, mówi zawiele, za długo, dyalogi te, niedodające ruchu książce, ciężą czytelnikowi, a nużąc uwagę, nudzą.

Angielskie pismo poświęcone literaturze *The Academy*, charakteryzując moralną, filozoficzną stronę utworów Julii Kavanagh, napisało: „Nie ma tam ani jednego wiersza, któryby mogła chcieć wykreślić, umierając“.

Od Redakcyi.

Panu R. T. Zapytujesz nas pan: czy wybór pism Kraszewskiego przeznaczonych do przedruku w wydawnictwie 15-tomowym, jest już ostatecznym i czyby go zmienić jeszcze nie można? Wprawdzie do poprawionego już przez literatów i wydawców projektu p. Ungra weszła pewna jeszcze zmiana, ale odnosi się ona do jednego tylko utworu, do powieści *Król i Bondarywna*, w miejsce której, z wielkiem pożytkiem dla wydawnictwa, przedrukowaną zostanie powieść *Dwa światy*, — trzynastą innych utworów powieściowych wymienionych w ogłoszeniu Komitetu wydawniczego w Nr 51 „*Bluszczu*“ z r. 1877, pozostaje bez zmiany. Żałujemy na równi z panem, że nie może być przedrukowaną *Sztuka u Słowian*; ale nie sądzimy, aby dziś jeszcze w przyjętym ostatecznie projekcie, acokolwiek zmienić się dało.

Do dzisiejszego numeru „*Bluszcza*“ dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

TREŚĆ. Od Redakcyi. — W drogę do Egiptu, (poezja), przez Faleńskiego. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Jubileusz J. I. Kraszewskiego. — Przegląd teatralny, przez Edwarda Lubowskiego. — Z działu przyrody, przez Dr Ant. Rehmana. — Listy z zagranicy, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie. — Korrespondencya zagraniczna, (dokończenie), Lwów. — Wiadomości literackie, artystyczne i naukowe.